

Droga

W lipcu włącza mi się łażnik. Nie jestem w stanie usiedzieć w mieście, kiedy mury się nagrzeją i mieszkanie zamieni się w saunę. Wyjechać, uciekać, oby dalej. Wsiadam w „rozmarynkę” (15-letnie Volvo z przebiegiem 120000 km, ktoś uwierzy?) i gnam przed siebie, w dobrym towarzystwie.

Maciej Stryjecki

Ostatnie lata upłynęły w otocze patriotycznej. Zawsze w Polsce, bo płacę rodakowi. A i wolę oscypek, żurek czy ruskie pierogi od pizzy i ośmiorniczek. W tym roku dałem się jednak namówić na Bułgarię. Bo tanio, bo pogoda pewna, bo też bezpiecznie i morze ciepłe. Nie żałuję. Wszystko poszło zgodnie z oczekiwaniami. Podróż samochodem wprawdzie przydługa, ale zdecydowanie wolę tak, niż na skrzydłach. Po pierwsze, mogę przywieźć wiktuały z powrotem. Po drugie, lubię patrzeć na krajobrazy, architekturę i ludzi. Zatrzymać się na noc w Bukareszcie czy innym mieście, poszwendać po knajpach, zjeść coś lokalnego.

Podróże kształcą. Pozwalają też skonfrontować stereotypy z rzeczywistością. Chociażby Rumunia. Wiadomo, bieda i zacofanie. Tyle w tym prawdy, ile trucizny w zapalcie. To duży kraj, z najpiękniejszymi krajobrazami w tej części Europy. Świetne drogi, budowane w ekspresowym tempie, dobre piwo, restauracje (niezbyt drogie), a do tego mili ludzie. Słowem, chce się wracać.

Jechało się fantastycznie. Czegoś mi jednak brakowało. Nie to, że asfalt lepszy, czy gorszy, bo, pomijając Bułgarię, jest podobnie. Wszędzie są autostrady, drogi szybkiego ruchu, zdarzają się też wioski i miasteczka. Ani nasze lepsze, ani gorsze, ale jednak jest jakoś inaczej. Tam jestem jakiś spokojniejszy, jazda to wręcz nuda. Tutaj prowadzenie jest zajmujące, ma w sobie „nerw”. Co do diabła?

Patrzę wokół siebie i nie widzę przyczyny. Myślę, kombinuję, nic.

Nagle – jest! Znak drogowy. Stoi dumnie, pięknie wymalowany, poważny i postawny. Krzyczy – zwolnij, bo będzie ślisko, jak popada. Zdjąłem nogę z gazu. Przemówił do mnie, jak Mojżesz do Żydów. Skąd ta siła

przekazu? Olśnienie: kurczę, ostatni widziałem 20 km temu. Jadę dalej, wypatruję jak kania dżdżu. Czuję, że wzbiera we mnie głód. Może jakieś ostrzeżenie, nakaz, cokolwiek, choćby informacja. A tu nic, przez następnych 10 km. W miasteczkach lepiej. Jak większe, to się trafi nawet pięć. Na każdy patrzę, zastanawiam się, odmieniam przez przypadki: komu-czemu i kogo-co, czasem nawet „o!” (wołacz). Wracając, w Czechach i na Słowacji, poczułem już, że jestem bliżej domu. Nie spodziewałem się jednak bogactwa, jakie spłynie na mnie jeszcze przed Katowicami. Za nimi moje życie kierowcy całkiem zmieniło swój sens.

Znaki sypnęły się, jakby przeleciało stado monstualnych wron i wypróżniło się blaszanymi tablicami. W zależności od humoru i perystaltyki jelit, zagęszczenie rosło i spadało. Zaczęliśmy liczyć (w nudnej podróży każda zabawa jest dobra; nawet śpiewanie piosenek Kapitana Nemo). Najlepszy wynik na kilometr: 114. Słowem: sto czternaście. Czyli gęściej niż jeden na 10 metrów! Statystykę podbijają okolice skrzyżowań. W jednym miejscu potrafi stać 6, a nawet 11. Niektóre stopniują napięcie; są jak poważne chińskie ostrzeżenia. Będzie przejście dla pieszych. Przejście jest bliżej. Przejście jest zaraz, zaraz i wreszcie: przejście już jest! Jest i znak. Co tam znak: od razu trzy. Czerwono-biały, zielony i niebieski, sygnalizacja świetlna, pasy, pieszych nie ma.

Taki pieszy to nigdzie indziej nie czuje się jak prawdziwy król. Trasa szybkiego ruchu, więc zasuwam, jak pozwalają – 110. Znaki migają, uciekają w siną dal. Będzie droga (uwaga, kolizja) z prawej. Zaraz bym zobaczył, że to już bliżej, ale znak zasłania inny znak, że przy okazji zaczął się przystanek autobusowy. Po cholewę mi ta wiedza, skoro jadę samochodem?

No, zawsze mogę złapać gumę. To od razu widzę, że będzie gdzie zjeść i kimnąć, a i upolować coś się da, bo na trójkacie skacze jelonek, a pół kilometra dalej – łoś i wiewiórka. Nie zginę.

Kolejne znaki doskonale wyrabiają refleks. Tutaj rządzi trasa lubelska. Inna rzecz, że skala robót jest imponująca i daje nadzieję na doskonałą komunikację już za rok, dwa. Na razie to pretekst do postawienia setek znaków. Najbardziej lubiane przez kierowców to ograniczenia prędkości. Bywa i tak: 50, za 20 metrów: 70; 20 metrów i znowu 50, kolejne 30 m i 90. Staram się dostosować. O ile wyhamowanie nie jest problemem, to z przyspieszaniem gorzej. Za mało koni pod maską. Już wiem, po co ludziom sportowe fury.

Znak ograniczenia prędkości może być też znakiem czasu. Pamiątką, pomnikiem epokowych wydarzeń. Ot, chociażby budowy obwodnicy Lublina. O ile to skróciło podróż do Zaklikowa, jaki dało komfort mieszkańcom, nie wspomnę. Jednak samo zadowolenie z wygody to płytki konsumpcjonizm. Warto pamiętać, że kiedyś było gorzej. Aby to zrozumieć, trzeba pojechać na centrum. Trzy pasy w każdą stronę, żadnej kolizji ruchu (estakady, wiadukty, kładki), a tu: 50. Nie wierzyć? To zaraz będzie 30. Rozumiem, że była tu budowa i nie wiem, dlaczego – jak się skończyła – znak został. Wie to policja. Nie to, że się czepiam, bo lubelska drogowka nie jest złośliwa. Nigdy nie widziałem tam czyhającego radiowoza. Panowie zapewne czują absurd sytuacji i nie łapią.

Kiedy już zatrzymują, zwykle pada pytanie: widział pan znak, panie kierowco? Na katowickiej korciłoby odpowiedzieć pytaniem: który, bo widziałem kilkadziesiąt. Wiem, że to się nie opłaca, więc tego nie robię. Pamiętam jednak, że pierwszy egzamin na prawo jazdy oblałem, bo nie znałem odpowiedzi na pytanie „na co ma patrzeć kierowca?”. Jest prosta: na drogę. Ale jak tenże kierowca ma patrzeć na drogę, skoro powinien analizować znaki i dostosować się do ich przekazu, a tu co sekundę bodziec?

Pytanie na koniec, z gatunku tych poważnych. Ilu ludzi nie straciłoby życia, gdyby się do nich stosowali? Przydałoby się w skali kraju wykarczować kilka tysięcy tablic i zostawić tylko te ważniejsze, żeby ostrzegać, a nie rozpraszać. No, pozostawiłbym ograniczenie do 30 na obwodnicy lubelskiej, zaznaczając, że to pomnik. Wziąłbym tam na wycieczkę każdego przyszłego znakostawiacza. Jego samochodem.